

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY

# NAWIAŁO NAM BURZĘ



  
AXIS MUNDI  
WYDAWNICTWO

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY

# NAWIAŁO NAM BURZĘ



Copyright © by Jarosław Abramow-Newerly, 2000

Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Antonina Liedtke

REDAKCJA: Ewa Popielarz

KOREKTA: Dominika Kamyszek

KOREKTA TECHNICZNA: Antonina Liedtke

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-599-1

ISBN EBOOK: 978-83-8412-600-4

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-601-1

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotował Jan Żaborowski

# Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Wstęp](#)

[Część I](#)

Część II

Część III

Zakończenie

Aneks. Świadectwo Isydora Dienera

Drzewa genealogiczne

Wkładka zdjęciowa

Przypisy

# Wstęp

Praca nad tą książką okazała się pełna niespodzianek. Nigdy nie przypuszczałem, że napiszę sagę. Po *Kładce przez Atlanty*, dokumentalnej opowieści o życiu Tadeusza Gonsika, miałem przekonanie, że nabrałem już wprawy w tym gatunku prozy i łatwo mi pójdzie. Okazało się, że nie. Zmaganie z materiałem trwało trzy lata. Moim bohaterom wciąż coś się przypominało. Musiałem się cofać, łątać, poprawiać rwącą się fabułę. W pewnych chwilach tęskniłem już za swobodną fikcją. Na początku jednak, nieświadom tej łataniny, ochoczo zabrałem się do dzieła.

Zacząłem od rozmów z Olgą Wawrów. Jej opowieść o przedwojennych Hadyńkowcach wydała mi się nieco zbyt zgrzebna i szara. Postanowiłem ją ubarwić. Zderzyć ze współczesną akcją w piekarni w Toronto. Polsko-ukraińska ekipa z egzotycznymi typami kusila. Dodałem do tego jeszcze własne wątki biograficzne i z początku ten kolaż mi się spodobał. Wkrótce jednak stwierdziłem, że zabieg jest sztuczny. Kłóci się z surową formą dokumentu. Wynika z braku wiary w autentyczne tworzywo. W połowie pracy wyłączyłem ten rozrywkowy nurt, wkładając go do oddzielnego utworu – *Młyn w piekarni*. Niewiele to dało. Tekst dalej rósł.

W celu osadzenia Hadyńkowiec bardziej w epoce uznałem za słuszne nakreślić dzieje Galiji za czasów austriackich, II Rzeczypospolitej i kolejnych okupacji.

Tekst zmieniał się w historyczny szkic. Tymczasem zwiększała się liczba moich bohaterów – Polaków i Ukraińców. Kuzyn Olgi Wawrów,

Bohdan Wynnyczenko, przybył ze Lwowa do Toronto pod koniec pracy nad tą książką. Jego powojenne losy wydały mi się tak ciekawe, że postanowiłem je włączyć do opowieści. Znow doszło parę rozdziałów. Spotkanie z nim przekonało mnie jednak, że ten polsko-ukraiński nurt jest najważniejszy, że owa burza nawiana do Hadyńkowiec 17 września 1939 roku znad Zbrucza wcale nie była lokalna, tylko ma uniwersalny zasięg. Jej plony zbieramy do dziś. Nie jest to tylko sprawa jednego narodu i jednej wioski, ale dotyczy nas wszystkich. Ludzi z dawnego bloku sowieckiego rozsianych po całym świecie.

Temat dostatecznie wielki, by starczył na tomy. Nie trzeba go powiększać. Raczej skupić się na zbieraniu rozproszonych ziaren. I to właśnie okazało się najtrudniejsze. Owo stopniowe dokopywanie się do realiów i szczegółików oddających prawdę ówczesnego obyczaju i języka. Żmudne „krawiectwo poprawkowe” – jak to żartobliwie określiłem.

Z początku zaznaczałem język Olgi Wawrów specjalnym fonetycznym zapisem. Jej śpiewny kresowy akcent wydał mi się szczególnie miły. Owe: „U nas we łąsi, prołszę pana, załsze lułdzie mółwili” itp. Potem uznałem, że przy dłuższej lekturze to może być zbyt nużące, i zrezygnowałem. Zachowałem tylko specyficzną składnię pani Olgi, wyławiając z jej zdań proste, ludowe zwroty, czasem o poetyckiej sile, jak choćby ten: „Wrażenie było takie, proszę pana, jakby się wioska zapaliła”. Nie poprawiałem również błędnie wymawianych słów typu „fulwarek”, „katafalek”, „żrebiak”, „młockarnia” czy „kukurudziannik”. W spisanych przez nią wspomnieniach zachowałem jej oryginalny styl.

Podobnie postąpiłem z zapiskami Leszka Wawrowa. Jego dziecięcy dzienniczek i późniejsze notatki mało zmieniałem. Stwierdziłem, że świetnie zapamiętuje konkret. Wyczulony jest też na prawdę języka, rzecz dla mnie najważniejszą.

Redaktorki mego tekstu nie miały łatwego zadania. Przedstawiłem materiał na kolejne dwie książki. Znów trzeba było go ciąć i skracać. W końcu pisałem o Hadyńkowcach i rodzinie Wawrowych. Zrezygnowałem więc z szerszego tła i autobiografii. Ograniczyłem się tylko do niezbędnych informacji. Nie uchowało się wstrząsające świadectwo Isydora Dienera o zagładzie kopyczyńskich Żydów.

Podobnie teksty ulotek, odezw czy innych dokumentów. Może najbardziej żałuję usunięcia rozdziału o zachowaniu polskich literatów we Lwowie w 1939 roku, nad którym najdłużej pracowałem. Efektownie kontrastował z opisem postawy prostych ludzi z Hadyńkowic. Jego treść nazbyt jednak odbiegała od losów mojej wsi.

Kończąc tę autorską spowiedź, chciałbym podziękować Oldze Wawrów i jej rodzinie za pomoc przy pisaniu książki, zwłaszcza memu imiennikowi Jarosławowi Wawrowi – Majorowi – za uchylenie rąbka tajemnicy znad granicy i wprowadzenie do tekstu nieco humoru. Podziękowanie należy się również Leszkowi Wawrowi, inicjatorowi tej sagi. Jego upór, zapał i wiara w sens mego przedsięwzięcia – podobnie jak historyczna konsultacja, sporządzenie dokumentacji i aktywny udział w dochodzeniu do rodzinnej prawdy – wspierały mnie do końca. Udostępniony mi wierny zapis jego własnych wspomnień również niezwykle wzbogacił tekst.

Jarosław Abramow-Newerly

Sypie drobny, suchy śnieg. W nocy ma się on zmienić w deszcz, by rano zaskoczył słońcem, z ostrym wiatrem od bieguna i temperaturą minus dwadzieścia.

Wierzyć się nie chce, że tak będzie – ale będzie. W Kanadzie prognoza zawsze się sprawdza. Te nagłe skoki pogody nie wpływają najlepiej na nastrój, który u mnie pogarsza się dodatkowo przez fakt, że nie mogę pisać. Jakiś paraliż twórczy. Wciąż sobie obiecuję, że dziś postawię to pierwsze, kluczowe zdanie – i nie stawiam.

Odkładam do jutra...

Dawno już powinienem zacząć tę książkę. Zabieram się do niej od roku. Ma się dziać na Podolu, w zapadłym kącie Polski, której już nie ma – gdzieś między Kopyczyńcami a Czortkowem, blisko Husiatyna i dawnej granicy na Zbruczu. Skąd ten Zbrucz? Dlaczego mnie tak pociąga? Może dlatego, że w 1924 roku przekraczał go nielegalnie mój ojciec, uciekając od Sowietów do Polski, i o tej ucieczce słyszałem od dziecka? Te egzotyczne, kresowe nazwy zawsze mnie fascynowały.

Buczacz, Wołkowysk, Sircze...

Może więc w świecie najwcześniejszego dzieciństwa trzeba szukać źródeł późniejszych fascynacji? I tym tropem iść? Nie wiem. Wiem tylko, że ja idę teraz za tropem Webstera – mego psa beagle'a, który ciągnie mnie mocno w sobie tylko znanym kierunku. On nigdy się nie myli. Sunie z nosem przy ziemi, twardo zmierzając do celu. Jak po sznurku.

Idę więc za Websterem i podobnie jak on czuję nosem, że w tej historii podolskiej coś jest – tylko nie wiem co. Na próżno szukam tego pierwszego, kluczowego zdania, które by mnie otworzyło i nadało właściwy ton. Pozwoliło złapać wiatr w żagle i uskrzydliło. Nic mi nie wpada do głowy... Nie zacznę przecież od tego – kpię sam z siebie – że

pada drobny, suchy śnieg, a ja idę za swym psem – chociaż to szczerą prawdą.

Jedno jest pewne. Rzecz, którą planuję, dawno ułożyła mi się w głowie, drzemie gdzieś w podświadomości i czyha tylko na odpowiedni moment, by z niej wyskoczyć.

Potrzebny jest impuls, klucz-wytrych z tym pierwszym zdaniem, by ją przenieść na papier. Bo co do tego, że ona we mnie jest – nie mam wątpliwości.

Mój ojciec ów stan wewnętrznej gotowości, zmiany myśli w słowo zabawnie określał. Gdy po długich przygotowaniach i obwąchiwaniu tematu czuł, że wena twórcza w nim rośnie, myśl pęcznieje i domaga się ujścia, radośnie zacierał ręce, tajemniczo pociągał nosem i uroczyście oświadczał: „No, synu, ciesz się! Twój tatko znów jest w ciąży! Czuję, że coś nowego wkrótce się narodzi!” – i korzystając z tego błogosławionego stanu, szybko siadał do biurka.

A ja bezwolnie idę za Websterem, patrząc na jego tropy czarno odbite w śniegu – i nie mogę ruszyć z miejsca. I nagle olśnienie: będzie to skok. Skok nagły i niespodziewany. Nie tyle pogody, co człowieka. Przez rzekę Zbrucz, oczywiście, którą mój ojciec przekraczał w 1924 roku, a tamten zbieg sto lat przed nim. A może wcześniej. Jeszcze za cara Pawła I. Trudno dziś dociec...

Jedno jest pewne. Sypał wtedy drobny, suchy śnieg, który w nocy miał się zmienić w deszcz – gdy ten życiowy skok się dokonał...

*Tak właśnie zacznę!*, pomyślałem.

Wróciłem do domu i z pasją rzuciłem się do biurka.

\*

Sypał drobny, suchy śnieg, który pylił jak mąka. Brzozy nad rzeką gięły się rozpaczliwie, targane przez wiatr zza kordonu, który ciął jak brzytwa. Zazwyczaj wyraźne ruiny zamku i cerkiew na wzgórzu po tamtej stronie Husiatyna teraz ginęły we mgle. Wszystko skryła śnieżycą.

– Czarcia pogoda. Dawno takiej nie było – mruknął Fiodor Nikołajewicz Ławrow, mocniej nasuwając papachę.

Skurczony w siodle nie poganiał konia. Kołysał się w nim wolno, jakby gwiżdżąc na wybryki natury. Co jakiś czas odruchowo głaskał zwierzę i wzdychał ciężko:

– Tak, tak, Rusłan. Napytali my sobie biedy, *družok!*

Zwykle objeżdżał na nim podległe mu strażnice. Ławrow namiętnie kochał konie, a ten kruczy ogier, którego sprzedał mu po długim targu handlarz z Besarabii, był jego dumą. Dumą i wielkim zmartwieniem. Choć nie czystej krwi arab, brał najwyższe przeszkody i w powietrzu śmigał jak ptak. W całym pułku nie miał sobie równych. Najstarsi dońcy, a w końcu dońcy – jeźdźcy na schwał, musieli uznać jego wyższość. Co gorsza, wyższość Rusłana uznać musiała również gniada klacz Matriona, a wraz z nią graf Dymitr Sołłogub, dowódca ich pułku. To zaś nie wróżyło nic dobrego.

Ławrow był świeżo upieczonym oficerem, prymusem szkoły w Kazaniu. W nagrodę za świetną promocję skierowany został do straży zachodnich krańców Imperium. Był to dowód wielkiego zaufania, którego Ławrow w żadnym wypadku nie chciał zawieść. Właśnie tu, nad dalekim Zbruczem, pragnął najwierniej służyć cesarzowi i Rosji.

Z zapalem objął dowództwo nad sotnią i był dowódcą wzorowym. Może nawet zbyt wzorowym, co drażniło starszych kolegów. Zmęczeni koszarową nudą woleli rznąć w karty niż ćwiczyć żołnierzy, mozół musztry zostawiając swym wachmistrzom. Ławrow gardził taką postawą, niegodną

carskiego oficera. Bez wytchnienia szkolił swych kozaków. Podnoszenie ich sprawności bojowej wziął sobie za punkt honoru. Wciąż w polu, rzadko bywał w kasynie. Ganiał ich czasem do zajeżdżenia koni, ale siebie też nie żałował.

Zawsze na czele – sam dawał przykład. Gdy trzeba było, forsował rzekę wpływ w listopadowy chłód i wraz z dońcami na rozkaz „Zsiadł!” czołgał się skrycie za koniem. Niezmordowany w grze wojennej był jeźdźcem wybornym, rębajłą przednim i strzelcem o prawdziwie sokolim oku. W pełnym galopie mógł trafić w butelkę i wychylony spod brzucha konia znieść szablą kręgle ustawione na trawie.

Tym imponował i – chociaż służbista – był lubiany w sotni. Nie znęcał się nad żołnierzami bez potrzeby, a jeśli karał – to sprawiedliwie. Każdy wiedział za co.

Dowódca pułku zaraz zwrócił uwagę na młodego oficera. Z początku darzył go sympatią i wyróżniał przed frontem żołnierzy. Ta łaskawość Ekscelencji – grafa Knuta, jak go przezywali ze względu na stosowaną z lubością karę chłosty i powiedzonko: „*Batiuszka* knut najlepiej nauczy!” – nie dziwiła zbytnio starszyzny pułkowej. Popijając herbatkę z tulskiego samowara i powtarzając porzekadło: „Łaska Pańska na pstrym koniu jeździ”, oficerowie czekali na to, kiedy Ławrow z roli faworyta spadnie do rangi błazna i ciury pułkowej. A że tak będzie – byli pewni. Nie tacy kozacy jak Ławrow podskakiwali i spadli nisko. Choćby taki Sieriożka Kurpin, ulubieniec grafa, podejrzany niesłusznie o romans z jego żoną, tak został zadręczony, że w końcu z rozpaczy palnął sobie w łeb. Przed śmiercią zostawił pułkownikowi kartkę: „Ekscelencja daruje. Dłużej nie mogę. Jestem niewinny. Niech Bóg i najjaśniejszy pan mi wybaczą...”.

Może oni wybaczyli, ale nie graf. Do dziś drwi z Kurpina mimo jego tragicznej śmierci...

Co tu dużo gadać. Nawet ze swego dieńszczyka<sup>1</sup> Jaszy, zacnego muzyka znad Wołgi, oddanego mu duszą i ciałem, zrobił pirata. Jasza chodził jak korsarz z czarną przepaską na oku. I wiadomo, kto mu to oko wybił.

– Wyjątkowo wysokiej rangi kanalia. Najwyższej. Nic dziwnego, że stopnia dla niego nie mają – szydził po cichu sztabskapitan Jerosiejew, robiąc aluzje do długiego czekania pułkownika na upragniony awans generalski.

– On tak mówi – przestrzegł Ławrowa jego bliski druh Marczenko – a sam gorszy. Lizus i rab. O wszystkim grafowi doniesie. Ty uważaj na niego, Fiedia...

Fiodor uważał i starał się nie mieszać do pułkowych intryg. Nasłuchiwał się wiele takich historii. Zresztą sam widział, jak na placu ćwiczeń katuje się żołnierzy, batoży bez sensu, a gdy ledwie żyją i ociekają krwią, pułkownik podchodzi do nich i dźgając ich szpicrutą jak padlinę, mówi czule: „Widzisz, syneczku? Nie ma to jak ojczulek knut. Teraz już będziesz wiedział, kochasiu...”.

„Ojczulka knuta” i „mateczkę nahajkę” uważał za najlepszych wychowawców i zapatrzony w pruski dryl (jak jego cesarz Paweł I), stosował je z lubością.

Ławrow był z innej szkoły. Unikał chłosty i nie tymi sposobami chciał ćwiczyć swych żołnierzy.

Sadystyczne upodobania pułkownika rosły wraz z jego rozgoryczeniem. Po latach wiernej służby czuł się rozczarowany. Dowodzenie pułkiem kozaków dońskich o tysiące wiorst od stolicy cesarstwa, ukochanego Pitra, uważał za rodzaj zsyłki. Swoistą katorgę.

– W końcu nie wypadłem spod ogona sroce – buntował się. – Jestem ze starego, zasłużonego rodu, wychowanek Korpusu Paziów, dawno powinien

być ze mnie generał-lejtnant. Gorsci durnie dowodzą dywizją...

Za brak awansu winił dworską kamarylę, owo stado małąp i pudrowanych goryli we francuskich perukach – jak ich nazywał – którzy nigdy nie wǳchali prochu. Szczególne gromy ciskał na swego kuzyna, dowódcę lejbgwardii, wpływowego drania, z którym miał pecha wygrać w karty wioskę Dubrowkę pod Żytomierzem z dobrą setką pańszczyźnianych dusz.

– Teraz mści się na mnie, szympanś! I knuje w Carskim Siole...

Prawda zaś była taka, że z powodu znanego okrucieństwa grafa, a nie knucia, Petersburg wolał nadal mieć go na granicy, przedkładając raczej sadyzm nad złodziejstwo.

We dworze wiedziano, że kto jak kto, ale graf Sołłogub, pan z panów, właściciel wielkich włości w Rosji, nie będzie się bawił w przemyt i łapownictwo. A jego słynny *batiuszka* knut może być niezłym biczem i straszakiem w komorze celnej.

W końcu austriacki Husiatyn to prężne targowe miasto galicyjskie na szlaku Lwów–Stanisławów i towary stamtąd płyną do Rosji jak rzeka. Nie zaszkodzi więc mieć na granicy takiego srogiego stupajki. Pułkownik wielu kupców już przykłádnie pouczył swym „ojczulkiem”. A z nowym czort wie. Może się okazać łasy na łatwy chleb. W końcu nie każdy umie się powstrzymać, gdy łapówki same wchodzą mu do rąk. A graf Sołłogub umie...

– I takiemu panu my się narazili, Rusłan! – mruknął do swego konia Ławrow, smętnie kołyszając się w siodle. – To już lepiej było nam, bratku, skrócić kark i połamać wszystkie nogi, niż wyprzedzić o długość jego ukochaną klacz Matryonę. Teraz, Rusłan, my obydwaj wyciągniemy kopyta. Już on nam tego nie daruje...

Przypomniawszy sobie, jak pułkownik po wygranej gonitwie składał mu gratulacje. Ściskając rękę, ze znanym uśmieszkiem wycodził przez zęby: „Nu, ładno, Ławrow. Popisałeś się. *Maładiec*. Tylko zakarbuj sobie. Choć ty Ławrow, to nie od Ławry Kijowskiej. I nikogo na kolana nie rzucisz, by się do ciebie modlić i do twojego Rusłana. Jak do Świętego Spasa! Nie licz na to, *uważajemyj durak!*” – i odwróciwszy się, pociągnął za sobą swą biedną, przegraną klacz...

Szczególnie ten *uważajemyj durak* zgębił Ławrowa. Wróżył sądny dzień. Dużo gorszy niż ten z tą diabelską, przeklętą pogodą.

Nie mylił się. Sądny dzień nadszedł szybciej, niż przypuszczał.

Wkrótce pułkownik zarządził manewry właśnie jego sotni. Zajechał w asyście całego sztabu ze sztabskapitanem Jerosiejewem na czele. Choć sam Jerosiejew po cichu był dużo gorszego zdania o grafie niż on, Fiodor wiedział, że nie znajdzie w nim sojusznika. Przeciwnie. Jerosiejew pogrzebie go przy pierwszej okazji, chcąc bardziej podliznąć się swemu dowódcy. Już to, jak tańczył przed nim i po każdym słowie stawał na baczność, mimo że siedział w siodle, najlepiej o tym świadczyło.

– Pogrzebie mnie jak nic. *Uważajemyj durak!* – powtórzył słowa pułkownika i czekał na pierwszy cios.

Graf Sołłogub wstrzymał powitalną komendę i wolno defilując na swojej Matrionie, z satysfakcją wytykał Ławrowowi uchybienia w rynsztunku kozaków i koni. Ten miał źle przytroczoną szablę, tamten krzywą kulbakę i zbyt popuszczone popręgi. Wyrażnie się czepiał, szukając pretekstu. Ławrow ze spokojem znosił te szykany i zapewniał Ekszelencję, że jego żołnierze w mig usuną te usterki. Rzeczywiście, gdy doszło do tradycyjnej komendy: „Szable w dłoń!” – jeden błysk przeciął powietrze.

Widok ten mógł zadowolić nawet najbardziej wymagającego dowódcę. Ale nie grafa. Pułkownik patrzył na Ławrowa szklanym okiem, a złośliwy

uśmieszek nie schodził mu z ust. Ściągając cugle swej klaczy, rzekł chłodno:

– A teraz, mój sotniku, skoro z ciebie taki chwyt i sokół, pokaż no swoim zuchom, co robi jeździec, gdy koń pod nim padnie...

Ławrow zdębiał. Asystujący pułkownikowi oficerowie spojrzeli po sobie. Tego jeszcze nie było. Graf Sołłogub, kontent z wrażenia, jakie wywołał, dokończył grzecznie:

– Zademonstruj no, syneczku.

– Nie bardzo wiem jak, Wasza Wysokość – wybąkał Ławrow.

– Nie wierzę. Taki chwyt musi wiedzieć...

Oczywiście, że wiedział. Zbyt długo ćwiczył to ze swoją sotnią. Należy szybko wyplątać się spod konia, odczołgać i okopać na wybranej pozycji. Nie będzie tego jednak robił przed frontem swojej sotni. Miałby pełzać jak rak pod kopytami koni swych podwładnych, a oni z wyżyn siodła mieliby oceniać jego żalosne podrygi. Wiedział jednak, że Knut nie spocznie, nim go do cna nie zbłąźni i nie utytła w tym brudnym śniegu. Widział już swoją twarz ubabraną błotem...

*Już się z tego nie dźwignę. I nie odzyskam autorytetu. Do końca życia będę błaznem! Pośmiewiskiem pułku, myślał.*

– Ja wyraźnie powiedziałem, Ławrow! – powtórzył ostrzej pułkownik.

Nigdy przedtem żaden oficer nie otrzymał takiego rozkazu.

– Ja nie mogę – wyszeptał.

– To jest rozkaz, Ławrow. Wykonać! – zniecierpliwił się Knut, niemal najeżdżając na niego swoją klaczą.

*Lepsza śmierć niż taki wstyd, uznał Ławrow i czepiając się ostatniej szansy, wykrztusił z siebie:*

– Ośmielam się najpokorniej zameldować, Wasza Wysokość, że regulamin służby tego nie przewiduje.

– *Wot* tobie i regulamin! – Pułkownik chlasnął go szpicrutą przez twarz.  
– Z konia, *durak!* – wrzasnął.

I wtedy stało się coś, o czym długo potem mówiono w pułku. Przeszyty bólem i upokorzeniem Ławrow się poderwał. Nie wiedząc kiedy, wyrwał szablę z pochwy i jednym cięciem zdmuchnął z głowy barankę pułkownika. Szamerowana czapka potoczyła się w błoto.

– Jeszcze słowo, graf, a spadnie i głowa! – ostrzegł.

Był gotów na wszystko. Wiedział, że nie ma wyjścia. Tym nagłym ruchem odciął sobie drogę. Czeką go sąd i Sybir. W najlepszym razie. Niech się więc choć przedtem porachuje z tym szubrawcem...

Z szablą w dłoni i wzrokiem straceńca natarł na pułkownika:

– Paszoł won, *uważajemyj durak*, bo rozsiekam na kawałki!

Zaskoczony pułkownik odskoczył w panice. Z łysą głową, bez swej dumnej baranki, wyglądał żałośnie. Po prostu śmiesznie. Nerwowy chichot rozszedł się na tyłach szeregu. Nie da się ukryć. Mieli satysfakcję. Długo czekali na ten moment. Ich wszechwładny Knut – car i pan – cofa się przed najmłodszym podwładnym pułku. Król jest nagi. Odarty z szat przez swego pazia.

Trwało to chwilę. Ocknąwszy się z osłupienia, graf Sołłogub wyszarpnął rewolwer i wymierzył w pierś porucznika.

– Ja cię na pal wbiję, w dyby zakuję, *durak!* Co to, bunt?! Jak mi zaraz nie padniesz i nie przeczolgasz się przed frontem sotni, zabiję jak psa. Liczę do trzech. – I na „raz” wystrzelił w górę. – Dwaaa... – przeciągnął wolno i wycelował w pierś Ławrowa.

Fiodor nie czekał do trzech. Jednym cięciem wytrącił rewolwer z ręki pułkownika i chlasnął go na płask ostrzem szabli. Tak spoliczkowany graf

zachwiał się i nie zdążywszy krzyknąć: „Brać go!” – zwałił się w śnieg.

Pozostało jedno. Spiąć się i co koń wyskoczy gnać na tamten brzeg. To była jedyna szansa... *Wóz albo przewóz! I tak jestem trup*, uznał Ławrow i oczekując palby za sobą, przywarł mocniej do grzywy konia. Ku jego najwyższemu zdumieniu żaden strzał nie padł. Nie czuł też za plecami spodziewanej pogoni. Nikt z jego kozaków nie puścił się za nim w pościg.

– *Maładcy* – szepnął. – Niech Bóg ich ma w swej opiece...

Sobie tylko znanymi skrótami gnał ku granicy, której jeszcze wczoraj tak wiernie strzegł. Dżgany ostrogami Rusłan pędził jak wiatr, niemal płynąc w powietrzu.

Jak czarny pocisk zmiotł suche czubki oczeretów i dopadł rzeki. Skuty lodem Zbrucz odbijał kopyta konia. Szklany dźwięk: „Dzyń-dzyń, dzyń-dzyń!” – ponaglał ostro.

*A może to w uszach mi dzwoni?*, pomyślał.

Upragniony brzeg rósł. Ruiny zamku i kościół na wzgórzu ogromniały. Galopowały złote kopuły cerkwi. Dopiero gdy przesadził graniczny szlaban, a z budki strażnika rozległ się głos: „*Halt! Halt!*” – zrozumiał, że jest zbawiony. I że to nie w uszach mu dzwoni, ale dzwony w kościele na górze biją na poranne nabożeństwo.

– To niezły znak – ucieszył się i klepnął konia.

Zdyszany Rusłan prychnął raźnie. Straszne napięcie opadło i ktoś z uczuciem największej ulgi krzyknął nie jego głosem:

– Może ty jeszcze pożyczysz, Fiedia? I nie taki z ciebie *uważajemyj durak!*

Dwóch austriackich strażników, wciąż zdziwionych tym, skąd się u nich wziął rosyjski oficer w pełnym rynsztunku bojowym, ostrożnie, z bronią gotową do strzału, krok za krokiem zbliżało się do niego.

\*

Ławrow z wolna tracił nadzieję. Przesłuchania trwały, a on wciąż siedział. Co prawda nie wydano go w ręce swoich, ale obcym też niespieszno było go zwolnić.

– Doczekałeś się, Fiedka. Powinszować. I wszystko przez jednego drania. Od niego zacząłeś i na nim skończysz swą błyskotliwą karierę. Za jednym cięciem. Ciach! – Splunął do cebra i zaczął krążyć po celi.

Co jakiś czas robił kilkanaście przysiadów i gdy się zdyszał, trochę mu ulżyło. Przywykł do ćwiczeń w polu i dusił się w tym bezruchu.

Do celi wszedł strażnik z menażką i pajdą razowca.

– *Waserzupa i krupa, pane!* – krzyknął raźnie.

Był to miły, rumiany chłopak, pogodny jak słońce, i wraz z nim wpadał do celi jaśniejszy promień. Poczciwość biła z jego dobrodusznej twarzy. Fiodor zaraz znalazł w nim druha. To miejscowy Rusin z pobliskich Kociubiniec. Nazywał się Wynnyczenko. Danyło Wynnyczenko. To on przynosił Ławrowowi tytoń i najświeższe wiadomości. Co ważniejsze – doglądał Rusłana, o którego Fiodor bardzo się troskał.

Wciąż drżał o to, czy jego koniowi, na którym tak szczęśliwie salwował się ucieczką, niczego nie brakuje. Stale dopytywał, czy jest należycie karmiony i szczotkowany. Czy nie zastał się w stajni. A jeśli się nie zastał, to czy ci, co na nim jeżdżą, aby go nie zajeżdżą?

Danyło przysięgał, że może się nie bać, że Rusłan jest królem stajni.

To od Danyły Ławrow dowiedział się też, że posłańcy z jego pułku kilkakrotnie tu byli, domagając się jego wydania. Rozmowy toczyły się na moście, więc Danyło mógł wszystko widzieć. Szczególnie jeden kozak na siwym bachmacie, wyższy szarżą, w bekieszy, najgłośniej krzyczał, żądając

jego deportacji. Tak się pieklił, że koń pod nim siadał. Ławrow bez trudu odgadł, że to sztabskapitan Jerosiejew.

Widział już siebie na moście, wziętego w dwa konie, bez oficerskich pagonów, ze związanymi do tyłu rękami, jak wloką go w pogardzie i poniżeniu, by wtrącić do kazamatów i postawić przed sądem wojennym.

Badający Ławrowa komendant miasta, baron von Strotzky, wytworny pan w monoklu, mimo że sam graf, nie żywił sympatii do ich grafa. Gdy Fiodor mówił mu o sadyzmie Knuta, ten krzywił się z niesmakiem: „*Mein Gott! Nie do wiary!*” – i kiwał ze współczuciem głową.

– Prywatnie mi sprzyja. Ale cóż on może? I tak decyduje cesarz. A cesarz, to wiadomo. O jednego Ławrowa z naszym carem nie będzie się bił. Zdmuchną mnie jak pyłek. Ot co!

Danyło zabrał menażkę i przyrzekł, że jutro dowie się czegoś więcej.

Ławrow wyciągnął się na pryczy i nabił fajkę tytoniem. Nie zdążył zapalić, gdy do celi wszedł zmiennik Danyły, milczący, ponury drab, który powiódł go na przesłuchanie.

Minęli koszarowy dziedziniec i weszli do gmachu z czerwonej cegły, w którym Ławrow już wcześniej był.

– Znaczy znów ten graf będzie mnie pytał – stwierdził.

W jego kwaterze zastał starszego pana w kontuszu, bryczesach i wysokich sztybletach. Po dumnym, szlachetnym obliczu ozdobionym bokobrodami i wąsem znać było ważną personę.

– Znów graf – westchnął Ławrow. – Dziwnie mnie oni prześladują...

Rzeczywiście, komendant, przedstawiając gościa, wyjaśnił mu, że hrabia Józef de Zaremba-Cielecki jest starostą miasta i chce z nim pomówić.

*Lepszy horodniczy niż żandarm, pomyślał więzień z ulgą.*

Hrabia podał mu rękę, którą Ławrow uściśnął z szacunkiem. Baron von Strotzky wskazał mu krzesło i wyszedł zza biurka. Dał do zrozumienia, że rozmowa będzie prywatna. Fiodor, siadając między tymi grafami, pomyślał, że zawsze oni lepsi z dwóch stron niż koledzy z pułku. To go lekko pocieszyło.

– *Herr Ławrow!* – zaczął baron po niemiecku i przeszedł na francuski. – Pan hrabia Cielecki zna pańską historię ode mnie i pragnie panu zadać parę pytań. Nie taję, że pytania te będą ważne, kto wie, czy nie życiowe. Mam nadzieję, że jako oficer i bojar rosyjski rozumie pan nasze intencje i będzie pan odpowiadał szczerze i zgodnie z prawdą...

– Ręczę za to oficerskim słowem honoru, panie pułkowniku! – zapewnił Ławrow, unosząc się na krześle.

– *Bien* – ucieszył się baron i zwrócił do hrabiego: – *Alors, cher comte, maintenant votre tour*<sup>2</sup>...

Hrabia zadał Fiodorowi serię pytań dotyczących szkół i przebiegu służby, po czym dodał, że oglądał na maneużu jego kruczego ogiera i po *exterieur*<sup>3</sup> doszedł do wniosku, iż ma do czynienia z nie byle jakim koniarzem. Ławrow potwierdził, że konie i wojsko to jego pasja.

– Ja szlachcica po koniu poznam. Jak ma szkapę pod tyłkiem, znaczy nicpoń i kiep! Kawał hultaja, panie... – Hrabia zakręcił laską.

– Ten koń stał się naszą kartą przetargową – wszedł mu w słowo baron. – Rosjanie szczęśliwie odstąpili chwilowo od wydania pana, poruczniku, i zadowolili się jeno pańskim koniem i rynsztunkiem. Aż się zdziwiłem tą nagłą zmianą...

Ławrow się przeraził. W żadnym wypadku nie chciał stracić konia. Byłaby to największa podłość. I zdrada. Gorsza niż śmierć. *Dać im Rusłana? Niedoczekanie ich! Po moim trupie!*, pomyślał i próbując się opanować, oświadczył:

– Koń jest mój. Kupiłem go za własny żołd i pułk do niego nic nie ma. Siodło i rynsztunek chętnie zwrócę. Proszę bardzo...

– Dyskusja jest bezprzedmiotowa, poruczniku, bo ja wydałem rozkaz masztalerzowi, by wyszykował pańskiego konia i odstawił do granicy. Myślę, że już to zrobił – odparł grzecznie baron.

– Nie! – Ławrow się zerwał. – Jak on, to i ja! – wykrzyknął. – Razem uciekliśmy i razem wrócimy. Tylko śmierć nas rozdzieli...

Jego wściekłość powiększał fakt, iż czuł, czyja to sprawka.

Jerosiejew od dawna czyhał na jego konia. Teraz skorzystał z okazji, *swołocz*. Za Boga! Za Boga nie odda mu Rusłana! Raczej razem z nim skoczy w przepaść...

– No, no. – Hrabia z uznaniem kiwnął głową. – Woli chłop stracić królestwo, a nawet głowę niż konia? To lubię. To lubię, panie dziejku. Podobasz mi się, mój chłopcze. – Klepnął go w plecy.

Próba wypadła nadspodziewanie dobrze. Nie tyle seria życiowych pytań, co ten nagły, raptowny zryw przekonał hrabiego Cieleckiego, że znajdzie w młodym, przystojnym Moskalu niezłego koniuszego. A może i kogoś więcej.

\*

– Sojusz dwóch obcych grafów sprawił, że uwolniłem się od trzeciego. Czy to nie dziwne? – myślał głośno Ławrow, stojąc przed Cerkwią Świętego Onufrego na wysokim wzgórzu.

Ruski Husiatyn, jak go tu nazywali miejscowi Polacy, rozciągał się przed nimi jak na dłoni. Przyglądali mu się w milczeniu. Wynnyczenko trzymał za uzdę konia. Rusłan zadzierał wysoko łeb i bił kopytem w ziemię. Z chrap wydobywały mu się ciche parsknięcia. Fiodor nie miał wątpliwości, że Rusłan też czuje wyjątkowość sytuacji.

U ich stóp wił się Zbrucz. Szare tafle kry skrzyły się lodowato w marcowych smugach słońca. Tłukąc się wzajem o siebie, spływały wolno czarnym korytem rzeki.

Dzwony cerkwi zaczęły bić i Ławrow poczuł się jak na własnym pogrzebie. Oto przychodzi mu chować dawnego Fiedkę, sotnika kozaków dońskich, syna znanego bojara spod Rostowa, i rodzić się tu na nowo. Jako kto? Myśl, że na zawsze opuszcza armię i żegna się z karierą wojskową, o której od dziecka marzył, nie była mu miła.

– No nic. Grunt, że żyjemy. – Spojrzał na Rusłana. – Tylko jemu i opatrności Boskiej zawdzięczam, że jestem tu, a nie tam. – Przeniósł wzrok na swoich za kordonem.

*Teraz należy się głębiej pokłonić Bogu i podziękować za to cudowne ocalenie*, uznał i wolno wszedł do cerkwi.

Wkrótce potem, kołysząc się w siodle, zmierzał do pałacu w Hadyńkowcach, by objąć swoją pierwszą życiową posadę. Nie miał najmniejszego pojęcia, że jego widok zrobi wielkie wrażenie na całym fraucymerze, nie wyłączając z tego młodziutkiej klucznicy, dalekiej krewnej hrabiny Cieleckiej...

# CZĘŚĆ I

Siedzimy w przeszklonym biurze przy głównym wjeździe do piekarni Ontario Bread Company Limited. Leszek, którego poznałem w 1993 roku, i jego brat Jarosław, obecni współwłaściciele piekarni, to praprapraprawnukowie Fiodora Ławrowa, którego desperacki skok przez Zbrucz rozpoczął tę sagę.

– Legenda rodzinna głosi – mówi Leszek – że nasz protoplasta zabił tego grafa. Mój tato wciąż to powtarzał. Stryj Karol też...

– Tak jest. Ściął mu łeb jak nic – poparł go brat Jarosław, zwany w piekarni Majorem; zdążył urodzić się w rodzinnych Hadyńkowcach, podczas gdy o dziesięć lat młodszy Leszek ujrzał świat w Prudniku na Ziemiach Odzyskanych.

– Trudno mi w to uwierzyć – wyraziłem wątpliwość.

– On go zabił! – upiera się Leszek. – Podobny wypadek zdarzył się jego prawnukowi, a mojemu dziadkowi Teodorowi IV. Nie ma co tego ukrywać!

– To brzmi nieprawdopodobnie, wręcz groteskowo. Gdyby go zabił, Austriacy natychmiast by go wydali – broniłem się.

– Nie wydali go, bo wtedy były napięcia między Austrią a Rosją. Wiem. Sprawdzalem to.

Leszek Wawrów powiedział mi, że od dwudziestu pięciu lat planuje utrwalić ginący już świat młodości swoich rodziców. Skrzętnie robi notatki i zbiera rodzinne dokumenty.

– Wiele przeszli. Mieli bogate życie. Warto z nimi porozmawiać – powiedział. – W przypadku ojca jest już za późno. Przed dziewięciu laty dostał wylewu i nie mówi. A szkoda, bo świetnie opowiadał. Ale żyje moja matka, która dużo wie i pamięta. Nie chciałbym się znów spóźnić. Pan w *Kładce przez Atlantyk* uratował od zapomnienia Atlantydę Tadeusza Gonsika, przedwojenny polski Nowogródek, może więc i ten świat nad Zbruczem pana zainteresuje? Chętnie pana poznam z moimi rodzicami...

Akurat szukałem nowego tematu. Rozmowa nic nie kosztuje. A nuż rzeczywiście będzie coś ciekawego... Wsiadliśmy do samochodu i ruszyli w stronę High Parku.

Podjechaliśmy do dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły – domu państwa Wawrowych. Leszek nacisnął środkowy dzwonek. A gdy drzwi otworzyła drobna kobieta o lekko perkatym nosie, ciemnych, bujnych włosach i dużych, jakby zdziwionych oczach, przedstawił mnie:

– To jest pan Abramow, autor *Aliantów*, Pana Zdzicha i książki o panu Gonsiku.

– Wiem. Ja je wszystkie czytała<sup>4</sup> – oznajmiła z dziewczęcym uśmiechem.

– A to jest moja mama, Olga Wawrów. – Leszek dopełnił prezentacji.

– Proszę wchodzić i rozgościć się – rzekła pani Olga i wskazała schody prowadzące na górę. – Proszę siadać. Ja zaraz coś przygotuję...

– Chwileczkę, mamó. Ja nie chcę, by mama karmiła, tylko powiedziała coś o swoim życiu na Podolu – przerwał jej Leszek.

– A co mi mówić, Lesiu. Życie jak życie. Nic specjalnego ja w nim nie widzę. – Wzruszyła ramionami.

– Jak to nic?! Lata wojny, trzy okupacje, deportacje, reemigracja, banderowcy to nic?! Mama jako Ukrainka ma ciekawe spojrzenie...

– Jaka ja ta Ukrainka. Dawno przestała nią być – zaprzeczyła i szybko zaczęła nakrywać do stołu.

Po chwili ze spaceru wrócił pan Wawrów. Ciężko szurał zimowymi butami i wieszał płaszcz w przedpokoju. Gdy Leszek chciał mu pomóc, odepchnął go i dał znak, że sam sobie poradzi. Nałożył ciepłe futrzane papucie i siadł w fotelu pod swoim portretem. Miał te same gęste, krzaczaste brwi i ciemne, wyraziste oczy co dawniej. Powoli wytarł szczerwieniały od mrozu nos i z grymasem niechęci dotknął lewej nogi. Leszek szepnął mi, że ojciec ma prawą część sparaliżowaną, dotąd lewa strona mu nie dokuczała.

Widząc, że przyglądam się fotografiom i portretom na ścianach, Leszek zaczął objaśniać:

– Ta czarno-biała fotografia całej naszej rodziny była robiona w 1956 roku na życzenie stryja Karola z Kanady. Jarek ma na niej siedemnaście lat, właśnie zdał maturę, a ja jestem po pierwszej klasie. Nasza trzyletnia siostra Ewa jest strasznie naburmuszona, bo absolutnie nie chciała pozować do tego zdjęcia... A ten kolorowy portret, na którym wszyscy znów jesteśmy razem, mógł powstać dopiero po trzydziestu latach, kiedy brat Jarek połączył się z nami w Kanadzie...

– A ten chłopczyk w marynarskiej czapce na koniu? – spytałem.

– To Jarek przed naszym domem w Hadyńkowcach.

– Na karej klaczy Mańce – dodała pani Olga.

– Z całej batkowszczyzny, czyli ojcowizny, na Ukrainie zostało tylko to przedwojenne zdjęcie na koniu, które przerobiliśmy na kolorowy obraz. Żeby przesłonić czarną wizję strat – zaśmiał się Leszek. – A tu mama z tatem w maju 1937 roku, piękni i młodzi, na miesiąc przed ślubem...

– A-aa – potwierdził pan Wawrów, poruszając się w fotelu.

Pod kwitnącym drzewem barczysty, przystojny chłopak, z buńczucznym czubem włosów na głowie, pewnie obejmował wpeł uśmiechniętą, śliczną czarnulkę mrużącą oczy przed promieniami wiosennego słońca. Twarze mieli szczęśliwe, pełne nadziei.

– *Ja, ja.* Nie ma jak miesiąc maj w naszych stronach, na Podolu... – westchnęła pani Olga, ustawiając filiżanki na stole.

To było moje pierwsze i ostatnie spotkanie z panem Wincentym. W trzy dni później umarł i wkrótce odbył się jego uroczysty pogrzeb. Po pogrzebie Leszek powiedział:

– Czy to nie dziwne? Ja go wtedy też ostatni raz widziałem. Razem z panem. Jest w tym jakiś znak. Powinien pan przystąpić do rozmów z moją mamą. Absolutnie – przekonywał mnie.

W niedługim czasie zacząłem regularnie przychodzić na Indian Grove i spisywać wspomnienia Olgi Wawrów, nie bardzo wiedząc, co z tego wyjdzie. Powoli sterta notatek rosła, a mama Leszka stała się moim głównym przewodnikiem po tym nieistniejącym już świecie, do którego tak tęsknili ona i jej mąż, Wincenty Wawrów.

\*

W siódmym tomie pomnikowej pracy Romana Aftanazego *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej*, obejmującym województwo ruskie, ziemie halicką i lwowską, natrafiłem na dokładny opis dworu w Hadyńkowcach. I historię rodu Cieleckich. Jest też fotografia pałacu z czasów jego największej świetności, przed spaleniem przez Rosjan w 1915 roku. Po 1920 roku Artur Cielecki odbudował dwór w kształcie znacznie skromniejszym, bez pierwszego piętra, skrócony o jedną oś od strony wschodniej.

Aftanazy twierdzi, że pierwotna nazwa wsi Hadyńkowce brzmiała Wiszenka. Z powodu jednak wielkiej liczby żmij miejscowi Rusini zaczęli wieś nazywać Hadyńkowce. Od słowa *hadyna* – po ukraińsku „żmija”. Widać w okolicach płynącej przez wieś Niczławy żmije znalazły dla siebie dogodne siedlisko. I z niewinnej, kwitnącej Wiszenki uczyniły Hadyńkowce, czyli żmijowisko. Myślę, że ta jadowita, trująca nazwa przez całe wieki nie pasowała do mieszanej ludności wsi, która od pokoleń żyła tu we względnej zgodzie, szanując i tolerując swą inność.

Wracając do mego bohatera, Ławrowa, to kluczową rolę w jego życiu odegrał hrabia Cielecki. Polegała ona na tym, że pozwolił mu się ożenić ze swoją klucznicą, daleką krewną, której imienia i nazwiska pamięć rodzinna nie ocaliła. Wiadomo tylko, że była szlachcianką z krakowskiego. I że dla niej Ławrow zmienił wiarę i z prawosławia przeszedł na katolicyzm. Ich ślub odbył się w kościele.

Po wyjściu z aresztu Fiodor został sotnikiem kozaków dworskich hrabiego Cieleckiego. W nagrodę za wierną służbę hrabia dał mu dwadzieścia osiem mórg ziemi, co ważne – w jednym kawałku, gdzie mógł gospodarować ze swą młodą żoną.

\*

Rodzinna legenda głosiła, że Wincenty, stryj Wincentego Wawrowa, po którym ojciec Jarka, Leszka i Ewy odziedziczył imię, zginął bohatersko w bitwie pod Brzeżanami. Leszek zapamiętał opowieść ojca o tym, jak to jego stryj Wincenty, gorący patriota polski, w czasie odwrotu wojsk austriackich, gdy wszyscy w popłochu uciekali, pozostał w swojej transzei. Nie pomógł krzyk oficera:

– Ławro! *Zurück!*<sup>5</sup> Zbyt duża hurma Moskali wali!

– Moment! – odkrzyknął stryj. – Niechta jeszcze jednego Moskala ustrzelę!

I tak strzelał zaciekle, że zamek mu się z gorąca zaciął i Moskale roznieśli go na bagnietach.

Pani Olga, natarczywie pytana przez Leszka, dokładnie nie wiedziała, w którym roku Wincenty zginął i w jakiej armii służył. Leszek zdecydował się w końcu napisać do jego syna Jaśka Wawrowa, który wciąż mieszkał w rodzinnych Hadyńkowcach i któremu ostatnio udało się wydobyć z Zabuziańskiego Archiwum Akt Nowych metryki rodziny Wawrowych. Potwierdziła się opowieść ojca, że dopiero dziadek Teodor IV Ławrow, chcąc spolszczyć rosyjskie nazwisko, zmienił je na Wawrów. Poległy na wojnie brat Teodora, Wincenty, w metryce chrztu wciąż miał Ławro, a siostry Karolina i Anieli – Lawrów. W końcu wszyscy przyjęli tę spolszczoną wersję nazwiska – i dzieci Teodora nazywają się już Wawrów.

Syn Wincentego Ławro, Jaśko Wawrów lub – jak dziś po ukraińsku – Iwan Wawriw, nie repatriował się do Polski w 1945 roku. Podczas wojny stracił nogę, walcząc w Armii Czerwonej. Właśnie z nim Leszek korespondował w nadziei, że zdobędzie informacje o życiu Wincentego, jego ojca. Jako doświadczony kanadyjski biznesmen wiedział, że nie ma nic za darmo, i dla zachęty wsunął do koperty sto dolarów, które na Ukrainie wciąż były dużą sumą. Nie przewidział, że list trafi do rąk córki Jaśka, Sławki, która za dolary pięknie podziękowała, skonfiskowawszy je dla siebie. Wygrzebała paczkę starych fotografii, które znalazła w skrzyni swej babki, stryjenki Kaśki, wdowy po Wincentym Ławro. Wysłała w odpowiedzi list tak chaotyczny, że trudno się było w czymkolwiek zorientować. Po tym doświadczeniu Leszek wysłał drugi list do Jaśka, ale zaznaczył z góry, że dopiero po tym, jak on sam odpowie, nastąpi wypłata.

Z listu Sławki była tylko ta korzyść, że wśród przysłanych zdjęć znalazła się fotografia Teodora Wawrowa, dziadka Jarka, Leszka i Ewy.

– Ja wiedziała, że gdzieś to zdjęcie teścia Teodora jest – rzekła pani Olga wzruszona – ale stryjna Kaśka nigdy nie chciała go nam pokazać, bo miała je tylko jedno i bała się, że my jej nie oddamy. Na tym zdjęciu jest po jednej stronie brat stryjny Kaśki, Piotr Furmaniuk, przyszły poseł na Sejm polski, a po drugiej jej mąż Wincenty Ławro. W środku zaś stoi mój teść Teodor, ojciec Wicka. Piotr Furmaniuk bardzo przyjaźnił się z Teodorem i po jego śmierci pomagał memu Wickowi. Zagwarantował między innymi za niego i Wicko w siedemnaście lat objął sklep kółka rolniczego. Gdy my pytali o tę fotografię stryjanek Kaśkę, to zawsze mówiła: „Nie ma żadnego zdjęcia!”. A tu nagle w pięćdziesiąt lat po jej śmierci jest. Przysłała je nam jej wnuczka Sławka za sto dolarów. Szkoda, że mój Wicko tego nie dożył i nigdy nie widział twarzy swego ojca. Ale to przynajmniej dobre, proszę pana, że wnuki i prawnuki mogą tu w Kanadzie widzieć, jak Teodor Wawrów, Łysyj Fedko, wyglądał – dokończyła.

Zatem jedna jedyna podobizna dziadka Teodora, który zmarł w 1920 roku, dotarła w końcu do archiwum Leszka.

Z tego listu Sławki – na ile można było zrozumieć – wynikało, że jej dziadek Wincenty Ławro jako młody chłopak wyjechał za chlebem do Ameryki. Podobno pracował w kopalni w Teksasie. Potem wrócił do Hadyńkowic. W 1914 roku powołany do austriackiego wojska zginął w bitwie pod Brzeżanami<sup>6</sup>.

Syn jego brata Teodora, ojciec Jarka, Leszka i Ewy, urodził się 16 stycznia 1915 roku pod okupacją wojsk rosyjskich, które zajęły Hadyńkowce. Na chrzcie dali mu imię Wincenty – na cześć poległego przed kilkoma miesiącami stryja.

– Stryjeczni bracia Jaśko i Wicko razem się chowali, przyjaźnili i razem głośno kawalerowali we wsi, proszę pana – ciągnęła swe wspomnienia Olga Wawrów. – Wuj Piotr Furmaniuk, jeden z tej fotografii, co przeżył wojnę, ojcował i jednemu siostrzeńcowi, i drugiemu. Później obydwaj kuzyni Wicko i Jaśko ożenili się ze swymi ciotecznymi siostrami. Wicko ze mną, a Jaśko z Nastuńką Zacharczuk...

Oglądam następną fotografię z archiwum Leszka. Starsza kobieta siedzi na krześle, po obu stronach mając dwie córki.

– To jest moja babcia Anastazja Nawrocka. Po lewej stronie stoi ciotka Marynka, która wyszła za Nykołę Zacharczuka, a po drugiej moja mamcia Pawlina, która wyszła za mego tatę Martyna Wynnyczenkę. My więc byli z Wickiem też podwójną rodziną, bo Jaśko był kuzynem Wicka, a ja kuzynką Nastuńki Zacharczuk. Przed wojną my byli w wielkiej przyjaźni. Dopiero później, gdy przyszła wojna, Jaśko poczuł się Ukraińcem, proszę pana, a Wicko został Polak. Jaśko poszedł do ukraińskiego wojska, co było Czerwoną Armią, a Wicko do Kościuszkowców. Syn Jaśka Wawrowa, wnuk Wincentego Ławro, co zginął w walce z Moskalami pod Brzeżanami, Bohdan Wawriw, zdecydował się wrócić do rodzowego nazwiska Ławrow. Wzięty do Czerwonej Armii opuścił Hadyńkowce i po wojsku zaczął nowe życie w Rostowie nad Donem. Już jako Moskał, proszę pana – dokończyła.

*W ten sposób, pomyślałem, ród, który jego przodek Fiodor Ławrow, sotnik kozaków dońskich, tak brawurowo jednym skokiem przeniósł za Zbrucz, on znów zawrócił nad Don. Dziwne są ludzkie losy...*

A nazwisko Ławrow ma w Rosji stare tradycje. W XIX wieku wsławił je z jednej strony Piotr Aleksiejewicz Ławrow – filozof i publicysta, pułkownik artylerii, główny ideolog narodnictwa, pójścia w lud, założyciel pisma „Wpieriod”, z drugiej zaś konserwatywny carski generał-lejtnant

Stiepan Nilowicz Ławrow. W 1994 roku pojawił się na krótko w Moskwie wiceminister spraw zagranicznych – Piotr Ławrow.

W rodzinie istniał zwyczaj, że najstarszy syn nosił imię Teodor. Fiodor Ławrow miał jedyne syna Teodora II, któremu urodził się również syn Teodor III. Dotąd rodzina gospodarzyła na całych dwudziestu ośmiu morgach nadanych Fiodorowi w jednym kawałku przez hrabiego Cieleckiego. Od Teodora III królestwo zmieniło się w księstwo dzielnicowe. Miał on bowiem aż siedmioro dzieci i zwarty kawałek ziemi uległ podziałowi. Najstarszym jego synem był Teodor IV – urodzony w 1862 roku, dziadek Jarka, Leszka i Ewy. Po nim przyszły siostry Maria i Karolina, następnie brat Antoni, który za chlebem wyjechał do Ameryki i tam umarł. Po Antonim urodziła się Anieli, która wyszła za Krasnowskiego i była teściową Gnacha, pocztmistrza z Hadyńkowiec, o którym będzie jeszcze mowa. Wreszcie najmłodszy bracia Teodora IV – Jakub i Wincenty. Obydwaj przed I wojną światową pociągnęli za bratem Antonim do USA.

Dziadek Leszka, Teodor IV, też miał sporo dzieci, z których przy życiu zostało pięcioro. Najstarsza była Paulina urodzona w 1893 roku, a najmłodszy – Wincenty, ojciec braci Wawrów, którego od Pauliny dzieliły aż dwadzieścia dwa lata. Między nimi były dwie siostry – Maria i Józefa. Józefa, starsza od Wicka o osiemnaście lat, praktycznie go wychowała. Jako dwunastoletnia dziewczynka uległa wypadkowi. Spadła z drabiny i wywichnęła łopatkę. Nikt jej nie nastawił, rzecz oddano naturze. W następstwie tego plecy się wygięły na kształt garbu. Józka, jako ułomna, nigdy nie wyszła za mąż, chociaż kręcił się koło niej kawaler, ale matka go przegnała, twierdząc, że na ziemię leci, nie na nią. Trudno dojść, czy była to miłość do Józki, czy do ziemi. Ziemia budziła wtedy wielkie pożądanie i każdy chciał ją osiąść, nawet z garbatą panną. Józka długo nie mogła

tego przeboleć i do końca życia miała do matki żal. Ale wola rodziców była wtedy święta i dziewczyna całe życie została w domu. Najpierw u matki, potem u brata Wicka. Stąd Jarek pamięta ją jeszcze z Hadyńkowiec, a Leszek i Ewa z Prudnika.

Między Józką a najmłodszym Wickiem był jeszcze Karol, starszy od brata o sześć lat. Urodził się w 1909 roku. Teodor IV zmarł wcześnie, gdy mały Wicko miał pięć lat, a Karol jedenaście, i odtąd ich matka musiała sama chować dzieci. Jako dwudziestolatek Karol, uciekając przed poborem do wojska, pospiesznie odstąpił jej swoją część ziemi, którą potem sprzedała. Matka na gwałt pożyczyła pięćset dolarów od swojej siostry Antoszki Rasiewicz (z domu Hryb), której mąż pracował w Ameryce. Za dwieście pięćdziesiąt dolarów Karol kupił bilet kolejowy do Gdańska i „szyfkartę” na statek do Kanady. Resztę – dwieście pięćdziesiąt dolarów, które mu zostały – wsadził do portfela na początek nowego życia za oceanem.

Bracia uściskali się w Hadyńkowcach i Karol ze swym kuferkiem opuścił dom, do którego już nigdy nie wrócił.

– Moja teściowa Hanuśka, proszę pana, zawsze patrzyła się na ogród i powtarzała: „Tędy Karol poszedł do Kopyczyniec, bo nie chciał iść na stację w Hadyńkowcach, żeby go ktoś nie widział”. W Kopyczyńcach czekał już na niego Jarosław Pohorecki z dokumentami i zaproszeniem do Kanady. I tak, proszę pana, matka go pożegnała z tym kuferkiem i ćwierć tysiącem dolarów, jak poszedł za ogrody. Wypatrywała go potem ciągle i nigdy już nie zobaczyła...

Czterdzieści lat po wyjeździe Karola Wawrowa, gdy Leszek odwiedził swoją ciotkę Leonkę Żarską, córkę Antoszki Rasiewicz z Hrybów, w Przemkowie pod Zieloną Górą, przypomniała mu, że gdyby nie jej

mama, to ani Karolko, ani Wicko z rodziną nigdy nie znaleźliby się w Kanadzie.

– My dali Karolkowi pięćset dolarów, bo potrzebował te pieniądze naraz. Twoja babcia Hanuśka przyszła do mojej mamy i powiedziała, że jej potrzeba pięćset dolarów, bo Karolko jutro wyjeżdża do Kanady, tylko żeby nikomu o tym ani mru mru...

– No, ale moja babcia oddała wam te pieniądze. Wiem, że sprzedała zaraz krowę i kawałek pola pod lasem z udziału stryja Karola – przypomniał jej Leszek.

– Tak, ale jakby my tych pieniędzy wam nie pożyczyli, to byście Kanady nie widzieli – powtórzyła z wyrzutem, dając mu do zrozumienia, że to jej pośrednio wszystko zawdzięczają.

# Przypisy

1 dieńszczyka – ordynansa

2 *Alors...* – Teraz, drogi hrabio, pana kolej

3 *exterieur* – wyglądzie zewnętrznym

4 Pani Olga ma piękny kresowy zaśpiew, który tak lubię. Trudno go w piśmie odtworzyć. Zamiast mówić „wszystkie, zawsze” – mówi: „wszyuskie, zausz”, i to uroczo brzmi, „praude powiedziauszy”.

5 *Zurück!* – Do tyłu!

6 Te informacje potwierdził i rozszerzył Petro Szarawski, pasierb Jaśka Wawrowa, który odpowiedział na drugi list Leszka wysłany do jego ojczyma. Oto co napisał Petro: „Wawrów (Ławro) Wincenty Teodorowicz urodził się w Hadyńkowcach w 1884 roku. W 1906 roku ożenił się z Katarzyną Furmaniuk, która wtedy miała piętnaście lat. Była z tej samej wsi. [...] W 1913 roku Wincenty Wawrów wyjechał na zarobek do Ameryki. Pracował w kopalni węgla w Teksasie. Po roku wrócił do domu. W tym samym 1914 roku wybuchła wojna, Halicja była w Austrii i walczyła przeciw Rosji. Wincenty został zmobilizowany i wysłany na front. Jesienią przy forsowaniu rzeczki Złota Lipa w powiecie brzeżańskim w Tarnopolskiem zginął od kul ruskich żołnierzy. Jest pochowany koło miasta Brzeżany. [...]

Wawrów Jan (Jaśko) Wincentowicz urodził się 12 stycznia 1913 roku. W 1921 roku poszedł do pierwszej klasy szkoły w Hadyńkowcach, którą skończył w 1925 roku. Nauka w tej szkole była po polsku i po ukraińsku. [...] W lutym 1936 roku ożenił się w cerkwi z dwudziestoletnią Anastazją Zacharczuk.

21 listopada 1936 roku urodził im się syn Bohdan. Po ukończeniu siódmej klasy w Hadyńkowcach poszedł do szkoły zawodowej w Jaworowie. Powołany do Czerwonej Armii w 1956 roku, po trzech latach wrócił na krótko do Hadyńkowic, poczem wyjechał na budowę Dnieprowsko Kanału w donieckiej oblasti. Tam się ożenił i pozostał na stałe. Ostatni raz odwiedził swego ojca w 1981 roku. Nie koresponduje.

Jan Wawrów w kwietniu 1944 roku został zmobilizowany do Czerwonej Armii. [...] 22 lutego 1945 roku duży jak palec odłamek trafił go w udo i ugrzązł w tylnej jego części. Po wyciągnięciu odłamka, zaszyciu i wyzdrowieniu Jan ruszył znów na front. Koło miasta Lijepaja na Łotwie został ranny drugi raz. Tym razem pocisk rozrywający rozszarpał mu nogę poniżej kolana, a drugą lekko zranił. [...] Po kilku dniach w transporcie ciężko rannych przywieźli go do Dźwińska. Tych, którzy przeżyli ten atak, przedstawiono do odznaczeń i orderów. [...]

W Dźwińsku Janowi amputowali nogę powyżej kolana, bo zaczęła wychodzić mu kość. Stamtąd wysłano go do Wołogdy, gdzie amputowano mu resztę nogi. W 1945 roku wrócił do Hadyńkowic jako inwalida wojenny drugiej kategorii, odznaczony Medalem za Wojenne Zasługi, Medalem za Odwagę, Orderem Wielkiej Wojny Ojczyźnianej I Stopnia i Orderem Zwycięstwa.

W 1948 roku urodziła mu się córka Sławka. Skończyła dziesiątą klasę w 1965 roku, a w rok później wyszła za mąż za Bohdana Głuchowskiego”.

## Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Spis treści

Wstęp

Część I

Przypisy.